Nr. 1 We Lwowie, 1 stycznia 1933 Rok 55



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO
WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Z rozpoczynającym się Rokiem Nowym, 56-tym naszego istnienia, przesyłamy naszym Członkom, Współpracownikom i Czytelnikom serdeczne „Szczęść Boże".

Prosimy Ich, wśród tych ciężkich dzisiejszych warunków, o żywy współudział w pracy dla chwały ukochanego naszego Łowiectwa.

WYDZIAŁ M. T. Ł.

BOGUMIŁ MAGDZIŃSKI

Jak objawia się u zajęcy spirochetoza

(Spirochaetosis cuniculi).

Spirochetoza, błędnie nazwana syfilisem, jest to choroba weneryczna, opanowująca przedewszystkiem narządy płciowe zająca. Choroba ta powstaje samorzutnie, bez jakiejkolwiek podniety z zewnątrz, jest zakaźną i ma przebieg chroniczny. Głównym czynnikiem choroby — to Spirochaeta cuniculi, bakterja bardzo delikatna, nitkowata, która powoduje zapalenie i ropienie narządów płciowych. W pierwszem stadjum zmieniają się tylko narządy płciowe, dopiero w drugiem stadjum przechodzą bakterje na inne części ciała, mianowicie ropienia występują na głowie, a przedewszystkiem na gębie.

Dla łatwiejszego zrozumienia przebiegu choroby, podaję dokładny opis narządów rozrodczych tak męskich jak i żeńskich zająca. Męskie narządy rozrodcze składają się z prącia, czyli organu kopulacyjnego, nasieniowodu, jąder i przyjądrza. Przez nasieniowód dostaje się nasienie do prącia, a stąd nazewnątrz. Każdy osobnik męski ma dwa jądra owalnego kształtu, które tylko w okresie godowym zająca, znajdują się nazewnątrz ciała, zaś pozatem bywają wciągane do jamy brzusznej. Prącie tworzy się z dwóch rurkowatych ciał, równolegle biegnących, złączonych u samego końca. Organ ten mieści się w pewnego rodzaju fałdzie skórnej, która w okresie spoczynku pokrywa go całkowicie. Można go zobaczyć jedynie przez naciśnięcie fałdy skórnej palcem — wówczas wydostaje się nazewnątrz. W fałdzie znajduje się większa ilość małych gruczołów, które wydzielają ciecz żółtawą, również na zewnętrznej stronie fałdy mieszczą się dwa większe gruczoły, wydzielające podobną ciecz, wypływającą na nieowłosione miejsce między prąciem, a otworem odbytowym.

Narządy rozrodcze żeńskie składają się u zająca-samicy z jajników, jajowodów, macicy i pochwy, oraz zewnętrznych części organu, mianowicie w pobliżu otworu odbytowego fałd skórnych otaczających wargi (Vulva) jak i łechtaczkę (Clitoris). Wygląd łechtaczki zewnętrznie, przedewszystkiem u kociaków, jest bardzo podobny do prącia, choć mniejszy. To też nieraz myśliwi nie rozróżniają samca od samicy. Łechtaczka zająca, tak jak

prącie, jest cienka, ostro zakończona i pokryta gładką śluzowatą błoną. Tak jak prącie zakrywa fałda skórna, tak samo łechtaczka jest zupełnie ukryta. Pozatem znajdują się na fałdzie skórnej po bokach łechtaczki dwa gruczoły, które identyfikują się z gruczołami u samca, wydzielając również ciecz gęstą o zabarwieniu żółtem, niekiedy zamieniającą się w półsuchą ziarnistą masę. — Ciecz tę spotyka się często na zewnętrznych częściach organów rozrodczych.

Przed rokiem 1912 nazywano omawianą na wstępie chorobę syfilisem, dopiero w powyższym roku wykrył Ross we krwi samorzutnie chorego królika, a potem zająca, obecność bakterji Spirochaeta cuniculi. Bakterje te utworzyły owrzodzenia narządów rozrodczych, gęby i otworu odbytowego. W następnych latach potwierdzili odkrycie Rossa i inni uczeni*).

Spirochetoza jest wśród zajęcy bardzo rozpowszechniona, spotykamy ją tak w całej Europie, jak i w Azji, szczególnie zaś w Japonji, pozatem w Ameryce — przedewszystkiem w Stanach Zjednoczonych. Spirochetozę wywołuje, jak już wyżej wspomniano Spirochaeta cuniculi, bakterja bardzo podobna do Spirochaeta pallida, występującej u człowieka. Długość tej bakterji wynosi 8—13 u. Ruppert twierdzi, że jednokomórkowa Spirochaeta jest organizmem bardzo ruchliwym. Zając zaraża się nią przeważnie przy parkoceniu, wówczas okres inkubacyjny jest nieograniczony. Bakterje te żyją bardzo długo w zarażonych narządach rozrodczych, stąd też stanowią poważne niebezpieczeństwo dla otaczających ich zajęcy. Podczas parkotu potrafi samiec zarazić wszystkie samiczki, z któremi był w styczności, lub też zarażona samica — wszystkich samców. Jak Worms — jeden z uczonych — pisze, bywały wypadki, że całe stada (100%) zajęcy chorowały na spirochetozę, przyczem ważnym czynnikiem infekcyjnym były zranione lub zaognione części rozrodcze. Klarenbeck zauważył, że zarażenie następuje również i w inny sposób, oraz że na spirochetozę chorują również zające płciowo niedojrzałe. — W tym wypadku zarażenie powoduje wspólne dłuższe zamieszkiwanie jednej kotliny, kiedy to samiczka może zarazić tą samą płeć, tak samo samiec samca.

Bywają wypadki, że bakterje pozostają ukryte, czekając na odpowiednią chwilę, ażeby zwierzynę zarazić, taką okazją może być skaryfikacja (zranienie skóry**). Bakterje spirochetozy zmieniając narządy rozrodcze, nie wpływają ujemnie na kocenie, płody jak i możność rozrodczą; wiemy o tem z doświadczenia Klarenbecka, Wormsa, Chodzienera i Levaditiego. Według Klarenbecka nawet poważnie schorzała kocica urodzi zupełnie zdrowe kocięta. Natomiast kocięta nie są odporne na spirochetozę i mogą się zarazić bakterjami. Również już wyleczone zające mogą ponownie się zarazić, jeżeli okazja się nadarzy.

Spirochetoza nie zaraża, ani człowieka, ani też jakiegokolwiek innego zwierza. Poważni uczeni nie mogli pomimo wysiłków udowodnić przenoszenia się powyższej choroby na inne zwierzęta, jak małpy, psy, koty, myszy i szczury. Każdorazowe sztuczne injekcje bakteryj Spirochaeta cuniculi były bezowocne, pomimo że zastosowano skaryfikację i implantowano części tkankowe z zarażonej zwierzyny. Natomiast sztuczne injekcje przyjmują się natychmiast u zwierząt tego samego gatunku, t. zn. przeniesione z zająca na inne zające.

Jak wyżej powiedziano, w pierwszem stadjum rozwoju spirochetozy opanowuje i zmienia choroba prawie wyłącznie organy rozrodcze. Zaś w drugiem stadjum, przechodzą bakterje przeważnie na gębę, oczy, uszy i otwór odbytowy. W pierwszym wypadku objawia się wpierw słabe, później silniejsze zapalenie narządów rozrodczych, oraz nieowłosionej części skóry otaczającej te narządy. Pozatem całe otoczenie narządu rozrodczego bywa opuchnięte, tak, że nieco wystaje. Również błony śluzowe tych narządów bywają mniej lub więcej spuchnięte i zapalone o zabarwieniu silnie czerwonem. Ropień, hodowcy przeważnie nie zauważyli, jedynie Klarenbeck zanotował kilka wyjątkowych wypadków ropienia narządów rozrodczych.

Początków powyższej choroby najczęściej się nie zauważa, dopiero dalszy rozwój choroby powoduje tworzenie się guzów, wyrzutów na skórze i zewnętrznych wrzodów, których gołem okiem również trudno dostrzec, gdyż są wielkości łebka szpileczki, rzadziej wielkości grochu. Właściwością tych wyrzutów to łatwe ich pękanie i spływanie, przyczem zazwyczaj wypływa ropna masa zmieszana z krwią. Wrzody te z czasem zasychają, tworząc coś w rodzaju skorupy; w tem stadjum narządy rozrodcze i otoczenie bywają w dalszym ciągu zaognione i odznaczają się bardzo od reszty skóry. — Frei zauważył również nieraz opuchnięcie gruczołu limfatycznego pachwiny. U samic choruje w tym stadjum również pochwa, wywołując objawy podobne do kataru, przyczem pokrywają ją tak samo guzy i wrzody.

Drugie stadjum choroby odznacza się schorzeniem ogólnem ciała. Przedewszystkiem poważne zmiany występują na całej skórze. Najwięcej wrażliwa na zmiany chorobotwórcze w tym wypadku jest skóra pokrywająca gębę i otwór odbytowy, lecz prócz tego może się choroba objawić również na całej skórze, pokrywającej grzbiet zająca. Jako objawy, występują ropienia tworzące coś w rodzaju wrzodów wielkości grochu, uwypuklających się i zaognionych w miejscu stykania się ze skórą. Wrzody te zlewają się zczasem i temsamem powiększają do wielkości dwudziestogroszówki. Miejsca owrzodzone tracą włos, tak, że z łatwością można je spostrzec. Natomiast jak Klarenbeck opisuje, znaleziono zwierzynę, których starsze owrzodzenia były pokryte włosem wyjątkowo długim, wyrastającym ponad powierzchnię innych włosów; przy dłuższej obserwacji zauważono, że włosy takie wyrastały bardzo szybko.

Chcąc się przekonać, czy zając w rzeczywistości choruje skutkiem spirochetozy, konieczne jest badanie przez mikroskop, który ujawnia bakterje Spirochaeta cuniculi.

Badania Zuelzera wykryły bakterje Spirochaeta cuniculi w wodzie, a nawet w zlewach. Natomiast ba-

*) Bayon, Arzt, Buffington, Adachi, Jakobthal, Klarenbeck, Kuczyński, Kolle, Levaditi, Neumann, Noguchi, Ruppert, Scott, Worms, Warthin, Wandstrom.

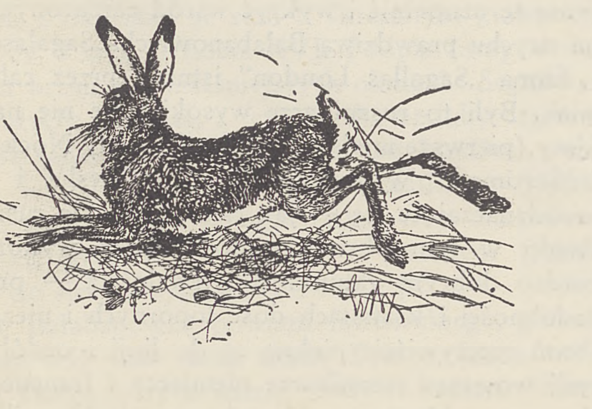
**) Klarenbeck, Levaditi, Warthin i ich współpracownicy.

dania Neumanna stwierdziły, że powyżej opisane bakterje istnieją nietylko w kale wydzielanym przez zające, lecz nieraz również w pochwie zupełnie zdrowej samicy, skutkiem czego może się łatwo przenieść i na inne sztuki, czy to za pomocą parkocenia, czy też z ziemi przez ranę, lub z innego zwierzęcia.

Ponieważ rany powstałe skutkiem drapania, czy to w okolicy kiszki odchodowej, czy też przy narządach rozrodczych, nie należą u zajęcy do rzadkości, stąd też przenoszenie bakteryj z jednego osobnika na drugiego można łatwo wytłumaczyć.

Radykalnie zwalczać można chorobę jedynie lecząc poszczególne zające i to smarując chore miejsca specjalnie spreparowaną maścią. Następnie zalecałoby się wydezynfekować miejsca, gdzie zwierzyna otrzymuje pokarm. Takie środki można zastosować tylko wówczas, gdy choroba znajduje się jeszcze w słabym rozwoju. Ktoby zaś chciał zwalczyć radykalnie rozwiniętą już szerzej chorobę, mógłby to uczynić jedynie przez zupełne wytępienie zwierzostanu w tej okolicy.

Literatura: Bayon, Brit. med. journ. 1913 r. — Arzt i Karl, Wien. Klin. Wochenschr. Bd. 27 Nr. 29, 1920 r. — Jakobsthal, Dermatol. Wochenschr., Nr. 71, 1920 r. — Levaditi i Banu, Cpt. rend. hebdom. des séances de l'acad. des sciences, 1920 r. — Schereschewski, Berl. klin. Wochenschrift Bd. 48, 1920 r. — Kolle, Ruppert i Möbus, Arch. f. Dermatol. u. Syphilis, Bd. 135, 1921 r. — Lersey i Kuczyński, Berl. klin. Wochenschr. 1921 r. — Noguchi, Journ. of the Americ. med. assoc. Vol. 77, 1921 r. — Schereschewski i Worms, Berl. klin. Wochenschr. 1921 r. — Kolle i Ruppert, Med. Klinik Bd. 18 Nr. 20, 1922 r. — Frei, Klin. Wochenschr. 1923 r. — Klarenbeck, Zentralbl. f. Bakteriol., Parasitenkr. u. Infektionskrankheiten Abt. I. Bd. 87, 1921 r.; Ann. de l'Inst. Pasteur. Tome 37, 1923 r. — Neumann, Zentralbl. für Bakteriol. Parasitenkrankheiten u. Infektionskrank. Abt. I., Bd. 90, 1923 r., Klin. Wochenschrift, 1923 r. — Warthin, Scott, Buffington, Wandstrom, Journ. of infect. dis. Vol. 32 Nr. 5, 1923 r. — Seitz, Münch. med. Wochenschr. Nr. 30, 1924 r. — Zuelzer, Zuhang zum Handbuch der pathogenen Protozoen von Prowazek — Nöller. Leipzig: Barth. 1925 r. — Levaditi, Nicolan i Novarro, Zentralbl. für Bakteriol., Parasitenkr. und Infektionskr., Abt. I. Bd. 81, 1926 r. — Worms, Arb. a. d. Reichsgesundheitsamt, 1926 r.



A. GROETSCHEL

Podpatrzone w mrokach leśnych

Tam gdzie bór sosnowy długą smugą, ujętą obustronnie wąskiemi łąkami leśnemi łączył się z dużym kompleksem starodrzewi liściastych, na gruncie jeszcze piaszczystym, znajdowały się rozległe i stale zamieszkiwane jamy borsucze i lisie.

Tuż obok tych jam, oparty o pień starej sosny, siedziałem na lasce myśliwskiej wieczorem dnia 29 lipca 1905 roku — z lornetką w ręku i odłożoną na bok dubeltówką — wieczór ten bowiem poświęcony był wypoczynkowi i obserwacji — a nie łowom.

Jakoż nie czekałem długo.

Po zapadnięciu słońca za lasy, gdy złote ognie zagasły zupełnie — a lekki mrok począł zwolna obejmować stopy stukilkudziesięcioletnich sosen — ozwały się na najniższych suchych konarach starych pni znane mi z poprzednich wędrówek dwie młode sowy leśne.

Potem od strony wschodu doszedł mych uszu delikatny szelest zbliżającego się zwierza. — Byłem pewny, że nadchodzi borsuk, w czasie tym bowiem są one najbardziej ruchliwe i często jeszcze za dnia można je widzieć. — Serce me znacznie przyśpieszyło tętno. — Ostrożnie skierowane w tym kierunku szkła — wskazywały mi wyraźnie dużego zająca, który kicał powoli wprost ku mnie, lecz znikł mi niebawem za plecami.

Po kilku minutach szarak ten pojawił się znowu i skubiąc trawę, zbliżył się ku mnie na kilka kroków — chwilami wietrzył, poczem uspokoiwszy się zupełnie, zatrzymał się na jasno-żółtym nasypie u okna jamy borsuczej.

Cisza w borze panowała zupełna, przerywana tylko głosami pomienionych sów leśnych.

W czasie gdy szarak obwąchiwał coś uparcie, na czystym piasku od zachodu zamajaczył jakiś długi cień, który bez szelestu posuwał się powoli do zająca.

Pozostawiwszy szkła w nieruchomej pozycji, tuż przed twarzą — bardzo ostrożnie spojrzałem popod szkłami i jakaż była moja radość — gdy w odległości zaledwie kilkunastu kroków, spostrzegłem dużego lisa, który dzięki korzystnemu wiatrowi, nic o mnie nie wiedząc, przesuwał się ostrożnie pod osłoną pni i krzewów ku nic złego nie przeczuwającemu szarakowi.

Zając obwąchiwał tymczasem wciąż jeszcze interesujące go miejsce na piasku — lis zaś dotarłszy niespostrzeżenie do najbliższego od zająca pnia sosny — nie chcąc wychylić się na zupełnie odsłonięte miejsce — przywarował tamże rozpłaszczony za grubym korzeniem starej sosny i wbił pożądliwe źrenice w szaraka. Z całej postaci mykity widać było ogromną żądzę pochwycenia zająca — a zarazem zawziętą wewnętrzną walkę. Natura drapieżnego zwierza pchała go bowiem do możliwie rychłego rzucenia się na swą ofiarę — a spryt i doświadczenie starego lisa — kazały mu opanować się, gdyż odległość to za duża — nie da się więc jednym przesadzić skokiem. — Gonitwa zaś za starym wygą zającem — jak wiedział z doświadczenia — rzadko się udaje.

Po kilku minutach walki wewnętrznej znać było, że

lis zwątpił — żeby szarak mógł doń się zbliżyć — jak również, że nie wierzył w możliwość niespostrzeżonego podsunięcia się do zająca. Ostrożnie bowiem wysuniętą główką kilkakrotnie bezradnie rozglądnął się na lewo i prawo — jakby tu teren wyzyskać — lecz widząc niekorzystną dla siebie sytuację — skupił się w sobie i postanowił jednym susem gwałtownie na zająca uderzyć.

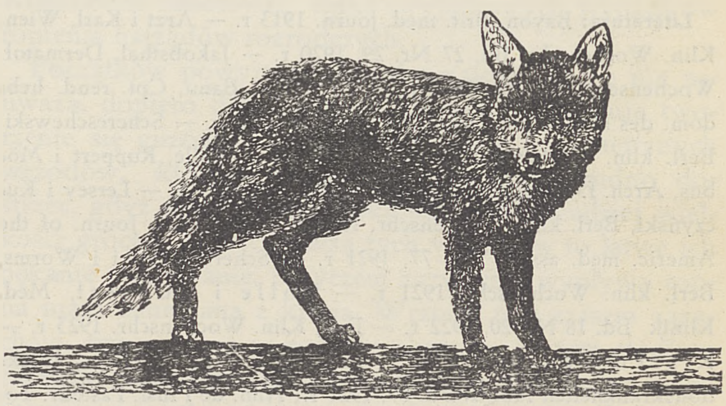
Ta stanowcza decyzja widoczną była w całej postaci i ruchach lisa, który jeszcze bardziej przywarł przodem do ziemi — podczas gdy tył nieznacznie podniósłszy — tylne skoki głęboko pod brzuch podsuwał. — Znać było, że lis lada chwila runie na zająca; sprężył się bowiem do skoku — poprawił kilkakrotnie łapki — by się silniej odsadzić. — Już — już miał skoczyć — lecz w ostatniej chwili zawahał się i wstrzymał. — Wreszcie oparł się ponownie silnie tylnemi łapkami o ziemię — drgnął przodem i runął potężnym susem na szaraka.

Odległość dzieląca oba zwierzęta wynosiła około 3 m. Lis spadł na ziemię o jakie 60 cm przed szarakiem. — Zając zwrócony do lisa przodem — lecz odchylony od tegoż pod kątem jakich 45⁰, na widok wpadającego nań lisa nie wykonał żadnego zwrotu — lecz by nie tracić ani momentu czasu, odbił się tylnemi skokami niesłychanie silnie i śmignął obok lisa, pod kątem, pod jakim był poprzednio doń zwrócony — zbliżając się nawet w pierwszym momencie skoku do swego prześladowcy. Przyczem skok zająca był tak potężny i wysoki, że miałem wrażenie, jakoby zając nie o własnych siłach ten skok wykonał, lecz jak gdyby znienacka wyrzucił go jakiś silny mechanizm wgórę jak z procy.

Zając w sekundzie znikł mi z oczu, — lis tymczasem gdy wpadł na miejsce ataku — rzecz dziwna, nie zaryzykował drugiego skoku — mimo, że ten wykonany szybko miałby duże szanse powodzenia.

Mykita po tym wyczynie stał wyprostowany jak posąg: głowa wzniesiona — kita wyciągnięta sztywnie i prostopadle w górę — słowem pełen zadowolenia i poczucia swej siły. — Zdawaćby się mogło, że skok na zająca był wykonany nie z chęci chwycenia zdobyczy, lecz dla swawoli i rozrywki. — Po kilku bowiem minutach takiej sztywnej postawy — ze wzrokiem utkwionym nieruchomo w kierunku ucieczki szaraka — podskoczył w górę, wpadł swawolnie na krzak olszy — roztrącił niskie gałęzie i listowie, bokiem otarł się o pień sosny, wreszcie o pięć kroków odemnie, przesadził przez wystający silnie korzeń starej sosny i znikł w pędzie w mrokach leśnych — nie wiedząc nic o tem, że był obserwowany i że o nim wzmianka przejdzie do notatek myśliwskich.

Dookoła zaległa zupełna cisza, mącona od czasu do czasu posykiwaniem młodych sów leśnych, które usadowiwszy się tuż nad moją głową na suchych odłamkach sosnowych gałęzi, komicznie nachylając ku mnie głowy, ciekawie przyglądały się z góry mej nieruchomej postaci.



JERZY PODOSKI

Sagalas London Bałabanówka

„Niedźwiedź w pole wali,
Rwąc z kopyta jak zając, coraz dalej, dalej,
Aż mi ducha nie stało, dobiec ni nadziei.
Aż spojrzę, w prawo sadzi, a tu rzadko w kniei...
Jak też wziąłem na oko, postójże marucha!
Pomyślitem, — i basta: ot, leży bez ducha!
Tęga strzelba, prawdziwa to Sagalasówka,
Napis: „Sagalas London à Bałabanówka".
(Sławny tam mieszkał ślusarz Polak, który robił
Polskie strzelby, ale je po angielsku zdobił).
A. Mickiewicz: „Pan Tadeusz" Księga IV.

Od kiedy poznałem „Pana Tadeusza", intrygował mnie wielce i zastanawiał ten zwrot. Autor z jednej strony był doskonałym ironistą i z wielkim „humour" krytykował xenomanję panującą wśród szlachty polskiej w końcu XVIII-go i na początku XIX-go wieku, zaś krytykę swą skoncentrował na osobach Hrabiego, Assesora i Rejenta oraz Telimeny, — z drugiej jednak wiemy, że wszystkie jego opisy życia ówczesnego są tak doskonale uchwycone i tak niezmiernie ścisłe — że dochodzi się do wniosku, że strzelby „Sagalas London à Bałabanówka" musiały rzeczywiście istnieć, były cenione, broń taką prawdopodobnie widział sam Autor i uchwycił cały komizm tego rodzaju napisu.

Kwestja ta jest bardzo ciekawa i miła dla serca każdego myśliwego — kochającego równocześnie tę perłę poezji jaką jest „Pan Tadeusz".

Toteż pozwolę sobie rzucić na nią nieco światła w nadziei, że może ktoś z Szanownych Czytelników zdoła pracę tę uzupełnić i wykryć wśród zarzuconych gratów na strychu prawdziwą Bałabanowiecką Sagalasówkę...

Firma „Sagallas London" istniała przez cały XVIII wiek. Byli to rusznikarze wysokiej ale nie najwyższej klasy (pierwsze miejsca zajmowali wtedy Nock, Manton i Mortimer). Wytwarzali broń myśliwską i pistolety — odznaczające się — jak cała produkcja rusznikarska Anglji w tym okresie — doskonałem wykończeniem, bardzo dobrym gatunkiem i trwałością — przy małej ozdobności i kształtach dość topornych i niezgrabnych (broń rzeczywiście piękną co do linji i ozdób wytwarzali wówczas rusznikarze niemieccy i francuscy: Kuchenreuter, Hagenest, Manufacture de Versailles Lepage i t. d.).

Obecnie broń „Sagallas" rzadką nie jest, musiało jej

ADAM STARZEŃSKI

„Litości! Litości!"

Pole. Zima. Pędzenie polne, w plecach las. Na horyzoncie poruszające się punkty ciemne, głowy naganiaczy. Daleko. Mam czas. Rozglądam się. Sąsiad mój na prawo pan As. Jeden z tych, co to prawie zawsze ma najwięcej sztuk na rozkładzie a rozradowanym donośnym głosem woła: „proszę zobaczyć, lewka czysta". Słuchamy, podziwiamy, stwierdzamy, a niejeden z nas wrażliwszy rumieni się, gdy wspomni sobie o swojej lewej, tak bardzo zabrudzonej i westchnie.

Ale uwa...a...a...ga!

Wali prosto na nas taki elegant, śnieg się kurzy, słuchy wysoko postawione, fantazja. Gach. Przystanął, w słupek się zamienił, na skokach się podnosi, jak najwyżej, jakby na palcach chciał stanąć, wstecz spogląda ku punktom ciemnym, skąd hałas podejrzany, słuchy jego łowią. N i e b e z p i e c z e ń s t w o! Hajda więc dalej naprzód. Rwie do lasu, do zbawczego. Gach lekkomyślny. Wtem trzask złowrogi. Ostro bije strzelba sąsiada. Dobrze strzela sąsiad. Ale co to? Czy sąsiad za mało założył? Mróz dziś wielki, pewnie proch trochę wolniej się spala. Elegant zrywa się i dalej..., ale już tylko sunie się dalej naprzód, gdyż motor zniszczony i przód tylko jeszcze zdrowy. Słuchy jednak wysoko postawione, fantazja. Gach. „Niech pan dobije tego zająca", wołam. „On już nie ucieknie", triumfujący odpowiada głos. Elegant, jak każdy zwierz na głos ludzki wrażliwy, słuchy pokłada, zapada się w śnieg. Cisza, spokój. Przyczaił się, a może... już...? Ale gdzietam, znowu się podnosi, lecz już mozolnie, słuchy nie tak wysoko już sterczą, podskakuje nieudolnie. Biedne, nieszczęsne stworzonko... „Panie", błagam, „niech go pan dobije". „Poco? Szkoda naboju, naganka go dobije". „Panie, naganka jeszcze daleko. Biedak się męczy". Nic. „Panie", grożę, „bo go dostrzelę i policzę sobie". No nareszcie, strzał wybawczy. Sąsiad coś mruczy, daleko... nie słyszę.

Czy pamiętacie koledzy myśliwi, bo widzieliście wszyscy, jak się odbywa to dobijanie przez nagankę? Jak niezgrabnie, powoli, nieudolnie do tego się zabierają. A biedny zajączek głosem rozdzierającym skarży się i szczęście, że mowy ludzkiej nie rozumie i tych śmiechów naganiaczy i tych dogadywań.

Raz tylko widziałem kogoś, który laską spacerową jednem uderzeniem rączki w głowę błyskawicznie, niechybnie dobijał takich inwalidów. Ale to był Anglik, taki pan As od golfa.

Polowanie w zagajnikach. Kierownik polowania zapowiada: zając, królik, bażant. Wesoło. Polowanie doskonałe na drobną zwierzynę. Nagle łomot i na szeroką łąkę w galopie wypada taki potwór czarny, nigdy w tych stronach nie spotykany. Potwór, o którym myślał i któremu przeznaczał Heym swój 9,3 mm, gdy go tworzył. Kroków pięćdziesiąt, sześćdziesiąt. Padają strzały gorączkowe. Zbliżam się. Rozekscytowana młodzież woła: „chybić go nie mogłem, jak chałupa, ale daleko i cienki śrut". — „Pocóż więc strzelaliście?" Śmieją się, „co mu to szkodzi, nawet nie poczuł". — „Skąd to wiecie, że nie poczuł. Tego roku na kuropatwach, daleko było i cienki śrut i zresztą jeden tylko dostałem w koniec palca. Deszcz padał i śrut nawet nie przebił mokrej rękawiczki. Ale przeszło godzinę palec był ubezwładniony i wierzcie mi, że ukłucie dwóch ós byłoby przyjemniejsze".

Morituri te salutant. — My zwierzyna „litości, litości" wołamy, o C z ł o w i e c z e. A w nekrologach naszych, jeżeli już taki los przypadł nam w udziele, pisz, o Człowiecze: „nagle i niespodziewanie" a nie „po długich a ciężkich cierpieniach".

---

być sporo w Polsce, może któryś z rusznikarzy warszawskich, wileńskich czy lwowskich miał stały kontakt z tą firmą i zaopatrywał wiele domów w Polsce. Teraz kilka par pistoletów posiadają muzea lwowskie, jedną parę widziałem u gen. Czesława Jarnuszkiewicza w Warszawie, wreszcie — od niedawna jestem sam posiadaczem bardzo pięknej i doskonale zachowanej pary.

Są to pistolety skałkowe, dość krótkie, w łożach orzechowych z okuciami ze stali o skromnym grawerunku Louis XV a także i Louis XVI. Podpis firmy na lufie i zamku brzmi na wcześniejszych okazach: Segallas, na późniejszych: Sagallas, z tem, że dla ozdoby często pisano: SeGallas LonDon lub SegaLLas LonDon.

Tyle — co do prawdziwego Segallas'a. Niestety o wiele mniej wiemy o jego naśladowcy, znacznie dla nas cenniejszym i ciekawszym i zmuszeni jesteśmy przejść do sfery przypuszczeń i tradycji.

Wieś Bałabanówka powiatu lipiwieckiego, gub. Kijowskiej, leży nad rzeką Gniły Tykicz, który tworzy wzdłuż swego koryta szereg dużych bagien, stawów i moczarów. Są to Stupki, Nowosiółki, — przepiękna Kniaża Krynica, Szulaki, wreszcie duże jeziora: Ostrożana i Woronne. Jeszcze za naszych czasów — tuż przed wojną, był to raj ptactwa błotnego, — dawniej zaś, przed pół wiekiem, zanim wyrąbano ogromne dębiny stepowe rosnące w całej okolicy, powiat obfitował w zwierza grubego — dzika i wilka.

Dookoła osiadło kilka możnych domów szlacheckich, rozmiłowanych w łowiectwie, w których bywało sporo broni dobrych firm obcych. Broń skałkowa często podlegała drobnym uszkodzeniom: złamanie kurka, sprężyny, przekręcenie śruby trzymającej skałkę i t. p.

Do rusznikarza — do dalekiego Kijowa oczywiście nie posyłano — reperował mniej lub więcej skutecznie kowal miejscowy.

Otóż tradycja okoliczna głosiła, że takim wyjątkowo zdolnym kowalem był Iwaś bałabanowiecki. Reperował, naprawiał, aż wreszcie spróbował sam strzelbę zrobić, prawdopodobnie przy pomocy jakichś starych luf. Udało się. Broń ówczesna była o wiele łatwiejszą do wykonania ręcznie, niż dzisiejsza, ponieważ nie było łamania, całej kwestji haków i zaryglowania...

Strzelbę tą chyba otrzymał w darze Pan Ekonom a może nawet Panicz — okazało się, że jest dobrą, i oto karjera Iwasia jako rusznikarza, zapewniona.

RUDYARD KIPLING

Kangur na wyścigach

(Z „Powiastek w sam raz dla małych dzieci")

Przełożył Józef Birkenmajer.

Chciejcie posłuchać bohaterskiej dumy
o wielkich, a sławnych wyścigach,
jakich nie widział długich wieków ciąg!
Urządził je wielki bożek Nqong
z Warrigaborrigaroomy,
szybkobiegaczom znaczny wytyczywszy kres:
pierwszy biegł dryblas - kangur w potężnych podrygach,
a za nim długo, żółty pies!

Kangur wciąż, jak dwa tłoki, prężył nogi tylnie
i skakał — siup! — a siup! —
Skakał od rana do zmroku:
skok każdy mierzył dwadzieścia pięć stóp!
Żółty pies dingo gonił go usilnie,
majacząc za nim nakształt żółtego obłoku.
Daleka-ć była to droga, daleka-ć!
Ze zmęczenia mu brakło tchu — i nie mógł szczekać!

Nikt nie wie, kędy biegli i dokąd i skąd;
nikt za ich biegów nie zdążył przelotem
(w owych to czasach jeszcze ów ląd
nie nosił nazwy u gminu).
Przebiegli stopni trzydzieście
od cieśnin Torres aż do Leewinu
(tu mapę do ręki weźcie) —
i znowu gnali zpowrotem...

Gdybyś tak samo puścił się w cwał
z Adelaide nad Pacyfik — i bez odpoczynku
przez jedno biegł popołudnie
(pół drogi, jaką tamci odbyli panowie)
o, wtedybyś się porządnie zgrzał,
aleby ci się nogi rozwinęły cudnie!
Tak, mój natrętny synku:
byłoby wtedy z ciebie dziwo, co się zowie!

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

Lew

(Ciąg dalszy)

Teraz mieliśmy mięsa już za dużo. Wszystkiego zabrać niepodobna było — do obozu było daleko, aby po resztę wrócić, a wieczór się zbliżał. Więc moi Kafrzy — a im na bawolinie bardzo zależało — porzucają kozła, obładowując się — o ile się dało — mięsem bawolem.

Rozbieranie tak wielkiej sztuki zabrało nam jednak tyle czasu, że gdy znaleźliśmy się w drodze — było już pod zachód słońca. Noc zaskoczyła nas na stepie. Księżyca nie było — a ostatnia część drogi wiodła przez gęstą kolczastą dżunglę.

Gdyśmy tam wreszcie weszli, otoczyły nas ciemności. Obawy zbłądzenia nie miałem, bo znajdowaliśmy się na wydeptanej ścieżce — a przewodnik pochodził z tych stron i znał dobrze okolicę.

Szliśmy tak może kwadrans, gdy naraz nasz przewodnik — wydając przeraźliwy krzyk — rzuca się w tył. Zbijamy się w kupkę. Jeszcze nie miałem czasu spytać, co się stało, gdy słyszę groźny pomruk lwa — a przewodnik woła: rzucajcie mięso — uciekajmy!... On już przedtem opuścił swoją część mięsiwa na ścieżkę — jak twierdził — lwu pod nogi.

Więc chłopcy rzucają swoje połcie i chcą się cofać. Ale na tyle inne lwy pomrukują...

Stoimy chwilę jak spłoszone barany. — Co robić?... Czarni chcieliby jak najprędzej stąd wydrzeć — ale trzymam ich swoim krzykiem, aby nie ważyli się ruszyć.

Potem zaświeciwszy kilka zapałek, aby sprawdzić, czy są wszyscy — każę przewodnikowi prowadzić nas bokiem — na przełaj krzaków i w ten sposób powoli oddalać się od zagrożonego miejsca.

Wątpię, czy kiedykolwiek sam wykuwał i wiercił lufy, sprowadzano je prawdopodobnie gotowe z Niemiec, a mistrz bałabanowiecki robił kolbę, zamki i „po angielsku ją zdobił". Tak czynił szereg rusznikarzy — Łoikiewicz w Tulczynie, Gibenhan w Warszawie itp. itp.

Sława jego rozszerzyła się na tyle, że i na Litwie uważano jego strzelby za bardzo dobre, trudno jednak przypuszczać, aby był ich wykonał wiele, i to tłumaczy częściowo zupełne zniknięcie tych broni w obecnych czasach.

Od kilku osób nader wiarogodnych, które z kolei słyszały o tem od swoich rodziców czy dziadów, zdołałem zebrać parę szczegółów co do napisów na tych strzelbach. Otóż podobno nosiły one napis na lufie dużemi literami „SAGALAS LONDON" a obok małemi: „à Bałabanówka". Ale były i napisy lepsze, a dobitnie świadczące o dowcipie kogoś — prawdopodobnie z klijentów, który zapewne niepiśmiennemu Iwasiowi podobny napis ułożył. Miały one brzmieć:

„Sy git, c'est bon, Sagalas a London
Fecit mądra główka, Iwaś kowal à Bałabanówka".

albo też:

„Sy git, c'est bon, Sagalas a London
Sagalas London a Bałabanówka
On to zrobił ta dubeltówka.

Gdzież się te strzelby podziały? Mimo pilnych poszukiwań, nie udało mi się ani jednej spotkać, czy to w Muzeach, czyto w zbiorach prywatnych i jeden jedyny raz słyszałem o sprzedaży takiej sztuki gdzieś przed wojną z licytacji, w Mińsku zdaje się. Zaginęły one prawdopodobnie tak, jak olbrzymia masa innej polskiej broni białej i palnej w czasie obu powstań i niezmiernie ścisłych i surowych rewizyj, odbywających się po nich w zaborze rosyjskim, podczas których to rewizyj, broń znalezioną nie tylko konfiskowano, ale niszczono na miejscu. A te dobre Sagalasówki, w które w szczególności zaopatrzone było ziemiaństwo ziem ruskich, musiały prawdopodobnie towarzyszyć swym właścicielom w roku 1831 pod krwawy Daszów i tam z nimi przepaść.

— — — — — — — — — — — — — —

...Assesor z Rejentem się kłócił,
Jeden wielbiąc przymioty swojej Sanguszówki,
Jeden wielbiąc przymioty swojej Sanguszkówki,

Po minucie przedzierania się gąszczem, wśród ciągłej niepewności, czy gdzie jeszcze nie wpadniemy na lwy — stwierdzamy, że oddalamy się od nich we właściwym kierunku. Okrążyliśmy wreszcie te bestje, które racząc się bawoliną, coraz głośniejszemi porykiwaniami, dawały znać, że są zadowolone.

Długo jeszcze wałęsaliśmy się po gąszczu, aż wkońcu przewodnik odnalazł ścieżkę, po której wkrótce dobiliśmy się do wsi i do obozu.

Godzina nerwowego naprężenia i bolesne podrapania po twarzy i rękach, jakie wynieśliśmy z tej perygrynacji po gąszczach — jakże wymownie mię pouczyły, że przed lwami — zwłaszcza nocą — nigdy nie można być pewnym...

— — — — — — — — — — — — —

Stacyjka nasza w Szamu — nie posiadała w pierwszych latach po jej założeniu — żadnego ogrodzenia, któreby zabezpieczało jej mieszkańców przed drapieżnikami. Zdawało nam się, że wystarcza trochę odwagi — i broń, aby czuć się bezpiecznym na własnych śmieciach. Dopiero po jakimś czasie, gdy lamparty zaczęły coraz częściej dobierać się do naszych kóz i owiec i spacerować nocą po podwórzu — gdy wreszcie raz i drugi zaanonsował się lew w pobliżu*) — otoczyliśmy zabudowania (z wyjątkiem stajni) wysokim płotem. Nie była to dostateczna przeszkoda dla lamparta, który nieraz jeszcze na podwórko zaglądał — dostateczna jednak dla lwa, który w przeciwieństwie do tego pierwszego — przesadzając płoty w jednym skoku — tylko w wyjątkowych wypadkach na skok taki się waży.

Ale i płot nieraz zawiedzie!

Było to w czasie deszczów. Ciemnica, słota i moskity, zapędziły nas wcześnie do łóżek. Murzyni jeszcze jakiś czas kręcili się koło kuchni — potem zamknąwszy bramy, usunęli się do swych chat — poza ogrodzeniem. Niestety jedną z bram niedomknięto. To wystarczyło, aby krążące wówczas po okolicy lwy — dostały się poza ogrodzenie.

Wcisnąwszy się na podworzec — obeszły go w największej ciszy dokoła. Zaglądnęły do kuchni, okrążyły kurnik, zatrzymały się chwilę u schodków, prowadzących na werandę domu mieszkalnego — i wyszły tą samą bramą, nie dawszy znać o sobie najlżejszem mruknięciem.

W domu — przy otwartych na werandę oknach — spaliśmy, ja — i Kazimierz.

Dopiero na drugi dzień dowiedzieliśmy się o tej wizycie z odcisków łap, jakie zostawiły po sobie na mokrym gruncie — cztery wyrosłe sztuki.

— — — — — — — — — — — — —

W drugim wypadku podkradł się lew pod stację jeszcze z wieczora. Było to również w porze deszczowej, ale już w czasie, kiedy trawiska rozrosły się bujnie — a ścieżkami, wiodącemi do naszego osiedla, chodziło się jak w tunelach.

Z białych — byłem wówczas sam jeden w domu, za to — oprócz służby — miałem kilkunastu czarnych robotników, którzy pracowali przy naprawie, zwalonego podczas burzy płotu.

Pod zachód słońca, robotnicy porzucili pracę, udając się w stronę zabudowań służby, aby przygotować swoje jadło. W tym czasie podano mi objad w altanie — naszej zwykłej jadalni. Z powodu moskitów, uporałem się z nim prędko, — aby jak najrychlej znaleźć się w łóżku pod mustykierą.

Gdym zdążał do domu mieszkalnego — zaczął padać deszcz. Ściemniało się też raptownie.

W chwili, kiedy już miałem wstąpić na schodki werandowe, doleciał mię od strony nowo postawionego płotu trzask, jakby łamanej trzciny.

Zatrzymałem się — nadsłuchuję...

Rzeczywiście — nie omyliłem się... Jakby ktoś poza płotem chodził...

— Może który z robotników?...

I dla upewnienia się, dążę do luki w płocie — gdzie miała stanąć brama.

Pomiędzy płotem a ścianą traw — był grunt oczyszczony na przestrzeni trzech kroków — rodzaj drogi — dokoła stacji. Była to izolacja konieczna w porze suchej — dla ochrony budynków w razie niespodziewanego pożaru traw. Droga ta służyła nam również jako teren informacyjny często dla przekonania się, jaki zwierz kręcił się nocą w najbliższem naszem sąsiedztwie, którego ślady mogliśmy łatwiej rozpoznać na niezarośniętym gruncie.

Doszedłszy do płotu, zajrzałem na tę drogę. Nie dostrzegłszy nic — a mając karabinek w ręku — chciałem wyjść poza płot, aby obejść domostwo. Ale grubszy deszcz, który właśnie lunął — zmusił mię do powrotu.

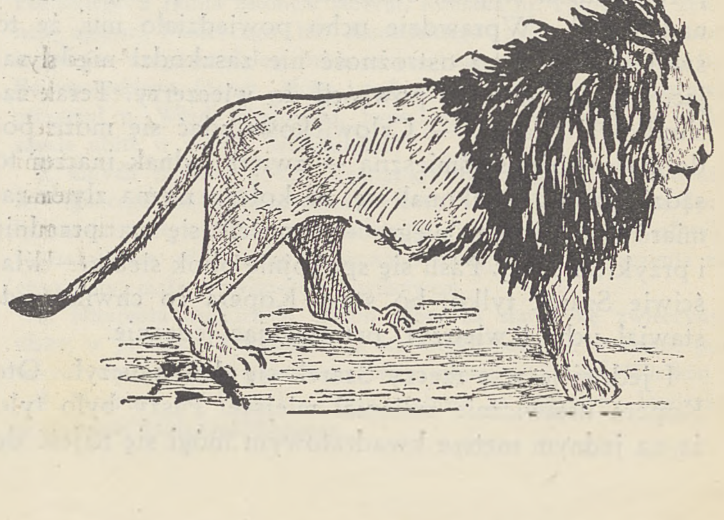
Poszedłem spać.

Na drugi dzień senzacja! Dowiaduję się od czarnych, że lew był wczoraj pod stacją. Pokazują mi jego tropy poza płotem, co więcej — odcisk jego cielska, dobrze wybity w błotnistym gruncie. Rysunek zwierzęcia, które przywarowało.

A przyczaił się tuż u wyjścia — prawdopodobnie w chwili, kiedy usłyszał, że zbliżam się w jego stronę.

Coby się było stało, gdybym poszedł krok dalej?... Nie przyszedł on tam w celach platonicznych...

(Dok. nast.)



*) Porwał w biały dzień posłańca z listem — prawdopodobnie w czasie drzemki przygodnej — podczas drogi.

JAROSŁAW HUBÁLEK

„SZAREK"

autoryzowany przekład z czeskiego Władysława Karnkowskiego

(Ciąg dalszy)

Szarek skakał, jak akrobata, lis szedł za nim długiemi, miarowemi susami. Niebawem jednak dał za wygraną. Zając — skokiem bocznym, na dobre trzy metry — popsuł mu zupełnie szyki i zginął w gęstem podszyciu. Lis stracił go z oczu i nim go znów ujrzał, odsadził się nasz Szarek na strzał śrutowy i znów mu zginął z oczu. Ścigać zająca nie na oko, lecz po tropie, z nosem przy ziemi, to trud daremny. Zaniechał go i zawrócił; gdyby był starszym i doświadczeńszym — byłby zawrócił już dawno.

Szarek — przekonawszy się, że pogoń ustała, zwolnił kroku. Dla pewności jednak, jako — że djabeł nigdy nie śpi — zrobił jeszcze parę ósemek, usiadł i czekał. I dopiero przekonawszy się, że lis naprawdę nie idzie po jego śladzie, puścił się wolno przed siebie.

Nabrał dziś pewności, że las nie jest tak pusty, jak się zdaje — a że uniknął śmierci dziś, może jej nie uniknąć jutro.

Gorzej było z paszą. Na jednej łące pracują ludzie, drugą obsadziła locha z małemi, trzeciej pilnuje lis. Nie było wyboru — musiał poprzestać na kwaśnej trawie nad potokiem. Bez smaku, ostra — do niczego. Skaleczył nią wargę i zarzekł się, że jej nigdy do ust nie weźmie.

Dzień przespał w kotlince, pod wieczór zaś, znów go coś pokusiło zajrzeć w górze na łąki. Było tam cicho zupełnie. Trawa, zrzęta dwa dni temu, czekała na odwrócenie pokosów. Wyskoczył z ukrycia leśnego, postawił słupka, słuchy obrócił pod wiatr, podniósł nosek i starannie zawietrzył. Cisza i spokój wkoło. Gdzieś w dali huka puhacz. Gwiazdy świecą jasno i noc w półmrok zamieniają. W dole nad potokiem beknął rogacz, raz, drugi i trzeci... Coś go przestraszyło. Może wilk, albo ryś? A może człowiek? Las milczy. Powiał silniejszy wiatr i przyniósł Szarkowi jego woń bliźnią. Momentalnie nastawił słuchy. Ciekawość jest wrodzona zającowi i Szarek nie mógł sobie odmówić znajomości z towarzyszem. Pod górą niedaleko krzaka, przy którym zostało trochę niezrzętej trawy — ujrzał starego Koperę. Siedział słupka, obrócony w stronę, skąd Szarek nadchodził. Wprawdzie ucho powiedziało mu, że to swój idzie — lecz ostrożność nie zaszkodzi nigdy zającowi. Uspokojony, powrócił do wieczerzy. Teraz zasłupkował Szarek. — Człowiekowi zdać się może podobna ostrożność śmieszną — zwierz jednak inaczej to sądzi. Szarek przekonał się, że kolega niema złych zamiarów względem niego — opuścił się na przednie i przykicał bliżej. Paśli się spokojnie obok siebie — właściwie Szarek tylko, bo stary Kopera co chwila nadstawiał ucha i wietrzył, przerywając jedzenie.

I jednej jeszcze rzeczy Szarek się dziś nauczył. Oto Kopera ustawicznie zmieniał miejsce. Paszy było tyle, że na jednym metrze kwadratowym mógł się najeść do syta — więc czemu poskubie ledwie minutkę i kica o dwadzieścia metrów dalej? Przecież to prosta lekkomyślność — zostawiać tyle śladów po sobie? I zamiast nasycić się przez godzinę — a potem ukryć się bezpiecznie, wieczerza trzy godziny, ryzykując całość futerka. To prawda, lecz przyczyna tego zwyczaju zajęczego leży głębiej. Stary zając poczyna sobie tak właśnie — z doświadczenia, młody z instynktu dziedzicznego. Człowiekowi się zdaje, że to łakomstwo i wybredność. Bynajmniej. To tylko ostrożność. Pomyślmy, ilu nieprzyjaciół czyha na pasącego się zająca. Z ptaków jedynie puhacz. Ale ten jest rzadki i nie wchodzi w rachubę. Za to lisów, dzikich i zdziczałych kotów, wilków, rysiów, kun i łasic jest mnóstwo.

Rabuś nie jest na tyle naiwny, aby pogonić zaraz za zającem, ujrzanym na łące. Tak robi tylko głupi pies domowy. Drapieżnik się czai, korzysta z każdego ukrycia, oblicza skok i w odpowiednim momencie się rzuca. Wyobraźmy sobie lisa, który zwietrzy zajęczą pieczonkę o dwadzieścia, lub trzydzieści kroków od brzegu lasu. Przyczołga się, jak cień, na sam brzeg, obliczy dokładnie szanse i krok za krokiem, centimetr za centimetrem skrada się pod wiatr do ofiary. Zając ma nos dobry, tu jednak nie zwietrzy — słuch ma wyborny, ale z wiatrem nie usłyszy, a lis podchodzi cichutko, niczem duch. Wreszcie, zając widzi dobrze, zwłaszcza przedmioty w ruchu, lecz las prawie się nie rusza. Więc jaka rada? Nie siedź biedaku długo na jednem miejscu — nie daj lisowi czasu podpełznąć — bo inaczej zginiesz!

A co się stanie, gdy zając co minutę pokica dziesięć, dwadzieścia metrów dalej i to w różnych kierunkach?

Biedny lis pół godziny straci, nim przepełznie najwyżej trzecią część tej odległości, a przeklęty zając znów się oddala i to tak, że często może wiatr odmienić. I tak dalej i dalej... Co robić? Daremny trud. Lis wraca do lasu i próbuje szczęścia z innej strony. I zdarza się, że zając, nie wiedząc nawet o tem, że całą noc śmierć szła za nim, syty wraca do kotlinki, lis zaś głodny — szuka po polu myszy o świtaniu.

Wieczerza była wspaniała i Szarek na szczęście najadł się na zapas.

Rano przyszli ludzie, przewracali pokosy cały dzień, a że do wsi było przeszło dziesięć kilometrów, zostali na łące na noc. Nieznośne natręty. Palili ognie, piekli ziemniaki, hałasowali — ani chwili spokoju. I te ich zapachy wstrętne...

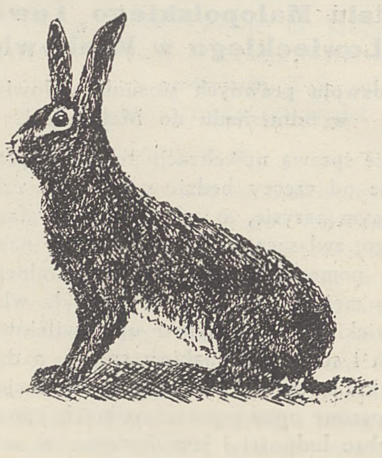
Łąka — taka piękna, bujna, kwiecista, falująca — dziś wygląda jak ostrzyżona owca, niema woni, niema kwiatów, niema piękna... Ach! Ci ludzie! Czego się dotkną, zeszpecą — gdzie się ukażą — spokojnego zwierza wypłoszą... Szarek jeszcze najdłużej wytrzymał. Rodzina jarząbków wyniosła się z borówkowego zakątka łąki, pierwszego zaraz dnia. Kolega Kopera też się ulotnił. Sarna z dwoma młodemi, codzienny bywalec — wyprowadziła je Bóg wie gdzie. Nic dziwnego. Przepłoszyło je kudłate psisko, nadbiegłe wraz z ludźmi. Łajdak ten nie przepuścił nikomu. Kopał myszy i krety na łące, włóczył się po lesie, szedł każdym śladem i ganiał zwierzynę z głośnem szczekaniem po górach i dolinach.

Na szczęście — dostał za swoje. Złapał się za przednią nogę w mocne wilcze żelaza, założone po drugiej stronie góry. Szarek słyszał jego skowyt przez dwa dni. — Ach! ci ludzie! Mało im tego, że zepsuli łąkę, że zatruli czyste powietrze! Jeszcze włóczą się po lesie, zbierają grzyby i biednego zajączka wyganiają z kotlinki!

Szarek ledwie minutę się zdrzemał. Całą noc biega po lesie i jeszcze się nie nasycił. — Trzasła opodal niego gałązka. Momentalnie rozejrzał się wkoło. Gąszczem idzie mały chłopak. Boso, spodenki brudne i obszarpane ledwie się trzymają na parcianych szelkach, na głowie stara wojskowa austrjaczka bez daszku, w jednej ręce kij, w drugiej koszyk z osikowego korzenia, do połowy napełniony maślaczami i gąskami. Oczy, jak szydła, bobrują po gąszczach. Szarek myślał, że chłopak go nie dojrzy i ominie. Gdzie tam! A jaki szelma cwany! Wypatrzył kotlinkę — i nic! Odwraca się — udaje że nie widzi — ale zachodzi z boku. Nagle w dogodnem miejscu, rzuca obuszek z całej siły.

Uderzenie było celne, za to chłopak na szczęście — nie miał pojęcia o matematyce i balistyce. Bo — nim pocisk ugodził w cel, Szarka już w kotlince nie było. Umykał długim poskokiem dobre trzy kilometry na przeciwległej górze. Zatrzymał się dopiero na skraju wysokiego lasu. Tu zaczynała się rzadzizna z masą wykradzionego drzewa. Odziomki metrowej wysokości świadczyły tu o tem, jak lud wyobrażał sobie wolność po wojnie światowej. Leżały nadto całe pnie ścięte a nie zabrane, zamienione biegiem tych lat paru w ciemne próchno. Cmentarzysko owo ożywiał jedynie młody podrost — okaleczony wypasem bydła, głównie zaś kóz. Każdy buczek wyglądał, jak drapaka. Pęd wierzchołkowy wszędzie do cna przygryziony; drzewko pięło się w górę pędami bocznemi, ogryzanemi bez litości w roku następnym. Szarkowi tu się nie podobało: wszędzie wstrętny wypar kocich kotków! Wracać nie chciał, biegł więc dalej aż na kraj pola. — Ogromna polana. — Na zagonach kopki zboża. W dole białe ściany domków i kościółka. Przypomniał sobie śmiertelną pogoń psa w czerwcu. Wprawdzie dziśby się tak nie bał, lecz nie chce wyzywać losu. Pociągnął wiatru, zasłupkował i kic... kic z powrotem do lasu. Wędrował cały dzień. Dokąd zajdzie — było mu obojętne. Szukał ciszy i spokoju.

(C. d. n.)



II-gi pokaz Trofeów łowieckich w Warszawie

Streszczenie sprawozdania z Nr. 49 „Łowca Polskiego“.

W porównaniu z pokazem 1-ym, pokaz 2-gi przedstawiał się mniej okazale. Tam było (według katalogów) 811 eksponatów, tu — tylko 282. Po odrzuceniu około 200 eksponatów, które w roku ubiegłym wystawiono poza konkursem, okazuje się, że pokaz 1-y był obesłany przeszło dwa razy obficiej. Przyczyną tego jest niewątpliwie kryzys ekonomiczny, który nietylko bezpośrednio (koszty przesyłki), ale i pośrednio (każdy ma na głowie ważniejsze sprawy i kłopoty) wpłynął na brak zainteresowania pokazem nawet takich myśliwych, którzy naprawdę mieli się czem pochwalić.

O ile jednak pod względem ilości nadesłanych eksponatów — pokaz przedstawiał się słabo, o tyle pod względem jakości, nie tylko nie ustępował zeszłorocznemu, ale nawet go przewyższał.

Komitetowi pokazu należy się ze strony świata myśliwskiego głęboka wdzięczność, że w czasach tak ciężkich potrafił przezwyciężyć trudności i mimo wszystko pokaz doprowadził do skutku.

S z a b e l d z i c z y c h wystawiono 15 par, nagrodzono 13. Najlepsze, K. Koncierowskiego, hr. Ledochowskiego, dwie hr. B. Tyszkiewicza, K. Dreckiego i Jana Sontaga nagrodzono medalem złotym.

Ł o p a t y ł o s i a z 9 wystawionych, nagrodzono 2 ks. Karola Radziwiłła medalem srebrnym, jedną medalem bronzowym.

W i e ń c e j e l e n i. Karpackich znikoma ilość (6). Nagrodzono: wieniec z Perechińska medalem złotym, jeden srebrnym i jeden bronzowym. Wieńców jeleni nizinnych było wystawionych 31, nagrodzonych 9. (Najlepsze Zygm. hr. Skorzewskiego, Mich. hr. Tarnowskiego, Rudolfa Fischera i Pawła hr. Potockiego, medale złote).

Jeleni karpackich nadesłano bardzo niewiele. Wśród nich wyróżniał się pięknem kształtów, długością i rozłożystością łodyg wieniec, nadesłany przez Centralną Administrację Dóbr grecko-kat. Metropolji. Szkoda, że wieniec ten ma niezbyt ładną barwę i słabe uperlenie. Waga jego jest też niewysoka (7,55 kg). Mimo to osiągnął on przeszło 200 punktów. Pozostałe wieńce karpackie nie zasługiwały na specjalną uwagę.

Natomiast byki pozakarpackie były na pokazie bardzo pięknie reprezentowane. W roku ubiegłym podziwialiśmy wieniec, zdobyty przez p. Karola Endera w kieleckiem. W roku bieżącym pod względem punktacji nie ustąpił mu wieniec hr. Zygmunta Skórzewskiego z Poznańskiego, a trzy następne wieńce (hr. Tarnowskiego, p. Fischera i hr. Potockiego) są prawie równie dobre. Szczególniej piękny w kształtach jest wieniec, zdobyty przez hr. Tarnowskiego w Krakowskiem. Poza karpackiemi, na pierwsze miejsze wysuwają się jelenie kieleckie, które w ogólnej klasyfikacji zdobyły trzy medale.

Wyjątkowo piękny jest byk, zabity w Spale przez Pana Prezydenta. Należy przypuszczać, że pobiłby on ilością punktów byka hr. Skórzewskiego, tak, jak bije go pięknem kształtów, barwy i uperlenia. Niestety, łeb tego byka został wypchany, nie można więc było klasyfikować go według punktów.

R o ż k i s a r n i e. Wystawionych (według katalogu) 188 par. Nagrodzonych 33. Z małopolskich nagrodzono rożki Alfreda hr. Potockiego z Julina żetonem złotym, Romana hr. Potockiego żetonem złotym, Maurycego hr. Zamoyskiego jedną parę żetonem srebrnym, drugą medalem bronzowym, również 3 pary Jerzego hr. Baworowskiego (żeton złoty, srebrny i bronzowy). Również otrzymał p. Wład. Skałowski, lwowianin, złoty medal za rożki sarnie ubite w wojew. wołyńskiem.

Z innych trofeów godne wzmianki: łeb dziczy P. Prezydenta RP. Ignacego Mościckiego (medal złoty), Tegoż łeb jelenia ze Spały (medal złoty), Kolekcja batalionów J. Skrzypka (żeton złoty).

Niezależnie od trofeów, przyznano następujące odznaczenia za eksponaty, mające związek z łowiectwem.

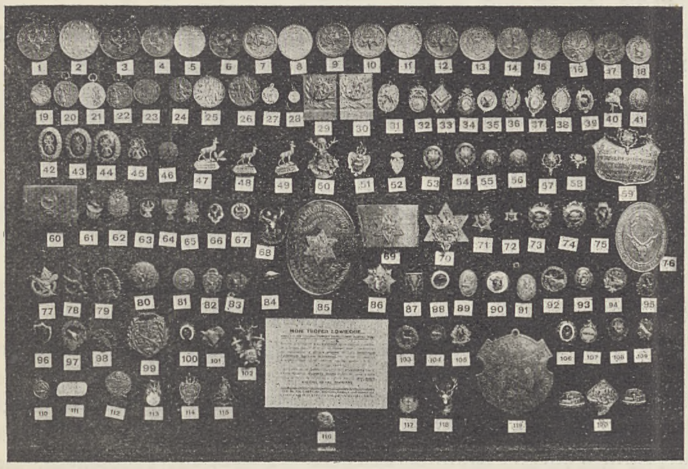
1. Hieronim Siemieński. Żeton złoty za statystykę zwierzyny, ubitej w powiecie Radomsko, za statystykę polowań w tymże powiecie, oraz za statystykę zwierzyny, ubitej w Silnicy Wielkiej.

2. Maurycy hr. Potocki. Żeton srebrny za statystykę łowiecką w dobrach Jabłonna-Nieporęt.

3. Kpt. Józef Wł. Kobylański. Żeton złoty za zbiór odznak łowieckich. Gablota ta zasługuje na specjalną uwagę. Wykazuje ona 120 odznaczeń i godeł łowieckich zebranych na terenie Polski. Kolekcjoner zaopatrzył ją w tabliczkę z następującym napisem:

MOJE TROFEA ŁOWIECKIE
zdobyte w 1932 roku przy pomocy Bożej i ludzi dobrej woli.

Pragnąc w następnym roku wystawić pełną kolekcję, a wiedząc, że w ramach słabych sił moich nie zdziałam wiele — zwracam się jak najuprzejmiej z gorącą prośbą do ludzi życzliwych i oddanych sprawie łowieckiej, by raczyli mi dopomóc w zbieraniu tych medali, żetonów, odznak, agrafek i t. p. — umożliwiając kupno.



Pragnę uratować od zagłady i zapomnienia te przepiękne rzeczy, któremi łowiectwo Ojczyzny mojej chlubić się może, a które zasługują na to, by je zebrać w jednem miejscu dla dobra wspólnej sprawy łowieckiej.

Kpt. Józef Wł. Kobylański, Warszawa — Zoliborz, ul. Drużbackiej Nr. 9, tel. 9-75-63, od godz. 8—15, prócz niedziel i świąt.

4. Włodzimierz Korsak. Żeton złoty za zbiór fotografij motywów z łowisk polskich.

Red.



KORESPONDENCJE

Lubień koło Lwowa, 7 grudniu 1932 r.

Wdniu 16. i 17. listopada 1932, odbyło się polowanie z nagonką w lasach br. Brunickiego w Lubieniu Wielkiem.

Przy pięknej jesiennej pogodzie upolowano w 5 strzelb:

W pierwszym dniu: 6 lisów i 16 zajęcy; najwięcej powodzenia miał hr. L. Wodzicki, mając na rozkładzie 4 lisy.

Dziki w ilości 16 sztuk, były w trzech miotach, jednak na linję strzelców nie wyszły, zostając niestrzelane.

W drugim dniu: 1 dzika, 2 lisy i 7 zajęcy; triumfował znany w kołach myśliwskich br. S. Brunicki, ubijając pięknego odyńca wagi 175 kg, z dobremi szablami oraz 1 potężnego lisa, prawie o połowę większego od wszystkich ubitych lisów.

Na ogół stan zwierzyny dobry. Najobficiej prezentują się sarny, bo ponad 130 sztuk na obszarze 800 ha lasu, mające tu nader troskliwą opiekę i racjonalną hodowlę, pozatem liczne są lisy, dewastujce drobną zwierzynę łowną i nie pozwalające na większą rozmnożę zajęcy.

Cześć św. Hubertowi
Knie-wiec

Kołomyja, 5 grudnia 1932 r.

Prawdziwie miłą niespodzianką i zarazem niemałą senzacją było pojawienie się w dniu 30. listopada 1932 bociana na polach Turki tuż pod lasem.

Kroczył sobie ów „pan bocian" majestatycznie i swoim wyglądem jakby mówił: „jestem i kpię ze zimy". Na tle zielonej oziminy dziwnie odbijała sylwetka bociania poniekąd w zadumaniu nad znikłemi żabami.

Z pewnością przezimuje w stajni wśród bydła, a może nawet i w kącie chałupy chłopskiej. Jedzenie wspólne, dzielenie się ostatnim kęsem, jak to mówią „łaskawym chlebem".

A więc żyj i doczekaj swoich zamorskich braci i wiośnianego słońca marcowego...

Stanisław Haleniak

Tow. Myśliwskie „NEMROD" — polowało:

W dniu 20. listopada 1932 w Żurawnikach, przy udziale 17 strzelb ubito 35 zajęcy, przy ślicznej pogodzie. Stan zajęcy zadowalający.

W dniu 27. listopada 1932 w Gańczarach, przy udziale 19 strzelb, dzień ponury, ubito 1 lisa, i 36 zajęcy. Stan zajęcy niezły.

W dniu 4 grudnia 1932 w Czyżkach, udział brało 19 strzelb, ubito 44 zające. Dzień piękny. Stan zajęcy ponad średni.

W dniu 8. grudnia 1932 w Dmytrowicach, w 7 strzelb ubito 33 zające. Stan słabszy. Ponury dzień.

W dniu 11. grudnia w Podhorcach, 18 strzelb, 42 zające. Dzień śliczny. Stan dobry.

Jan Zecha, łowczy

Na terenach Ordynacji w Przeworsku ubito w dniach 14 i 15-go grudnia 1932, bażantów 780 i zajęcy 100.

W dniach: 19—21 grudnia 1932, bażantów 32, zajęcy 781, lisa 1. Razem sztuk: 1694.



Sprawy Towarzystwa

Z Oddziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego w Krakowie

Kilka dat z rozwoju prawnych stosunków łowiectwa, zwłaszcza w odniesieniu do Małopolski.

W związku ze sprawą nowelizacji polskiego prawa łowieckiego, sądzimy, że nie od rzeczy będzie wspomnieć członkom naszym, w najogólniejszym zarysie, o główniejszych fazach prawodawstwa łowieckiego, zwłaszcza w odniesieniu do naszej dzielnicy.

Myślistwo w pomroce dziejów było naturalnem zajęciem każdego dorosłego mężczyzny, a zwierzyna była własnością niczyją, potem przez wieki było łowiectwo uprzywilejowaną zabawą rycerską możnych i stało pod znakiem sportu, a dzisiaj, jako gałęź gospodarstwa krajowego w połączeniu z racjonalną hodowlą zwierzyny i otoczone opieką poszczególnych państw, stanowi ono powszechne dobro ludności i jest dostępne w ustawowem wykonywaniu dla szerszych kół myśliwych bez różnicy stanu.

Na przełomie średnich wieków i później, gdy przy ciągłej jeszcze obfitości grubego zwierza, łowiectwo w handlu zewnętrznym i futrami odgrywało znaczniejszą rolę, starano się ująć je w pewne normy prawne, początkowo głównie dla ustalenia i zabezpieczenia prawa polowania (ochrony przywilejów — w Polsce Statut wiślicki), później w miarę postępu cywilizacji i spadku zwierzostanu, dla ochrony zwierzyny łownej.

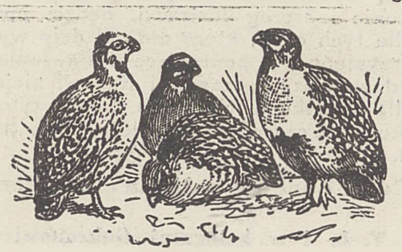
Rewolucja francuska w r. 1789 sprowadza gwałtowny przełom w ówczesnem łowiectwie. Razem z przywilejami stanowemi znosi ona zwierzchnicze prawo polowania (regal myśliwski) czyli znosi prawo polowania na cudzym gruncie.

Śladem Francji idą kolejno w wieku XIX. różne państwa europejskie, zasadzając prawo polowania na prawie własności gruntowej, tu i ówdzie z pewnemi zastrzeżeniami — i tak np.: Austrja i Prusy znoszą prawo polowania na cudzym gruncie w r. 1848, inne kraje niemieckie w czasie od r. 1848—1855, b. Kongresówka otrzymuje przepisy ograniczające w r. 1871, Rosja w r. 1892.

Zmiany powyższe, połączone z uwolnieniem gruntów od ciężarów i obowiązków wynikających z dawnych przywilejów, pociągnęły za sobą wydanie zmienionych przepisów łowieckich. W Austrji w r. 1849 uzależniono samodzielne wykonywanie polowania od posiadania przynajmniej 200 morgów gruntu; mniejsze grunta stanowią łącznie obszar polowania gminnego, a przepisy o wydzierżawieniu tego polowania wydano w r. 1852. Podobne mniej-więcej przepisy obowiązywały w krajach niemieckich a w byłej Kongresówce minimum obszaru samodzielnego wynosiło 150 morgów. W państwach zachodnich, północnych i w Rosji (z ograniczeniem włościan) przyznano właścicielom gruntów bezwarunkowe wykonywanie prawa polowania na własnym gruncie, zaś we Włoszech i Portugalji istniała zupełna swoboda polowania na swoich i obcych gruntach, o ile właściciel na swym gruncie wstępu i polowania nie wzbronił. Dla zapobieżenia nadmiernej ilości myśliwych i wyniszczeniu zwierzyny, ustanowiono w pomienionych państwach wysokie opłaty za karty łowieckie.

Wmiarę jak rosła ilość myśliwych i coraz intenzywniejsze użycie ulepszanej broni palnej, wyłaniała się powszechnie tem większa konieczność wzmożonej ochrony zwierzyny oraz potrzeba ustalenia odpowiednich ustawowych norm w racjonalnem wykonywaniu łowiectwa. (Dok. nast.).

Stan. Morawetz
sekretarz



Do wiadomości zalegających z wkładkami

Sąd okręgowy w Złoczowie w sprawie Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie, jako powoda zastąpionego przez adw. Dra J. Rosienkiewicza we Lwowie, ul. Szopena 5, przeciw jednemu z członków M. T. Ł. — o zapłatę 147 zł zaległych wkładek członkowskich, na skutek apelacji M. T. Ł. od wyroku Sądu grodzkiego, po przeprowadzonej rozprawie wydał następujący

WYROK

W uwzględnieniu apelacji zmienia się zaskarżony wyrok w ten sposób, że pozwany winien do dni 14 pod rygorem egzekucji zapłacić powodowi 147 zł z 10% odsetkami od dnia 5. listopada 1931 bieżącemi, oraz koszty sporu I. Instancji w kwocie 65 zł i II. Instancji w kwocie 35 zł 25 gr. W uzasadnieniu tego wyroku Sąd Okręgowy podniósł między innemi, że gdy powodowe Towarzystwo w zamian za wkładki dostarcza członkom fachowe pismo a to dwutygodnik „Łowiec" oraz w myśl art. 2. statutu czyni starania w interesie członków jako myśliwych, a które to starania pociągają za sobą konieczne trudy i wydatki, stosunek członków do powodowego Towarzystwa opiera się na umowie obustronnie odpłatnej, że zatem powodowemu Towarzystwu przysługuje tytuł ważny do zapozwania o zapłatę zaległych wkładek. — Gdy dalej niesporne jest, że pozwany przystąpił w charakterze członka do Towarzystwa M. T. Ł., że pozwany nie zgłosił wystąpienia, ani też powodowe Towarzystwo nie skorzystało z uprawnień z art. 11. statutu, gdy w końcu pozwany nie zaprzeczył, że tytułem wkładek po dzień 30 października 1931 narosła dłużna suma 177 zł., należało żądaniu pozwu jako słusznemu i uzasadnionemu w przepisie z § 861. uc. dać w zupełności miejsce.

Pozwany twierdził też, że otrzymywał wprawdzie czasem dwutygodnik „Łowiec" lecz go zwracał jako niepotrzebny, to ogólnikowe twierdzenie nie może mieć znaczenia prawnego dla rozpatrzenia sporu, mianowicie dla sprawy należności pozwanego do powodowego Towarzystwa z tytułu zaskarżonego roszczenia, skoro pozwany nie zgłosił formalnie wystąpienia, powodowe Towarzystwo w myśl obowiązku statutowego, uważając pozwanego za swego członka, było obowiązane rezerwować 1 egzemplarz „Łowca" z każdego nakładu dla pozwanego — niekorzystanie zaś pozwanego z tego czasopisma jako zdaniem pozwanego „niepotrzebnego" jest wyrazem woli pozwanego niemogącym mieć wpływu na wspomnianą kwestję prawną.

Orzeczenie o kosztach sporu opiera się na § 41 i 50 p. c.

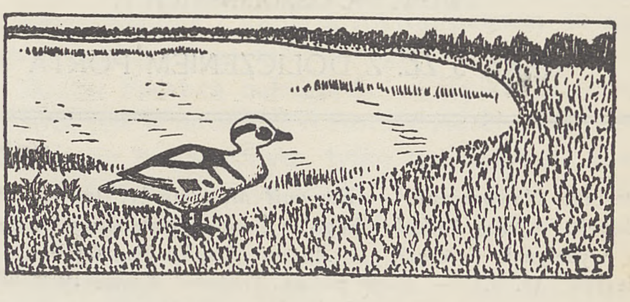
Na wyrok powyższy, zwracamy specjalną uwagę naszych restantów, zapowiadając, że po wyczerpaniu innych środków ściągnięcia wkładek, nie cofniemy się przed ich ściągnięciem w drodze sądowej.

Z WYDZIAŁU M. T. Ł.

W dalszym ciągu ogłaszamy nazwiska restantów, podając sumę ich zaległości po koniec roku 1932.

Dudziński Ludwik zł 140, delegat Eminowicz Mieczysław zł 72, delegat Etterle Karol zł 192, delegat Fabrice Jerzy zł 108, inż. Frey Edward zł 72, delegat dr. Friser Henryk zł 54, Gebauer Jan zł 63, Geringer Józef zł 54, delegat Glodt Ludwik zł 68, Głuszko Józef zł 186, delegat Godlewski Stefan zł 81, Golczewski Dr. Emil zł 54, Goleń Kazimierz zł 106, delegat Gołębski Jan zł 63, Gołębski Jerzy zł 90, prof. Gorzejowski Kazimierz zł 72, Grega Adam zł 108, delegat Grocholski Kazimierz zł 72, delegat Gromnicki Jan zł 90, Gutowski Andrzej zł 54, Gużkowski Ferdynand zł 54.

W styczniu wolno polować na: zające (do 15-go), kozy sarny i łanie jelenie (od 15-go), niedźwiedzie, rysie (do 14-go), cietrzewie-koguty, jarząbki, pardwy, na ptactwo wodne, na dziki, żbiki, lisy i kuny leśne



Prawo łowieckie

Rozporządzeniami Ministra rolnictwa i reform rolnych z dnia 9 listopada 1932 r. ogłoszonemi w numerze 111 dz. u. R. P. z dnia 16 grudnia 1932, pod poz. 924, 925, 926 i 927:

1. Zabroniono całkowicie polowania na łosie-byki, dropie i dropie-kamionki (strepety) z mocą obowiązującą od 1 stycznia 1933 do 31 grudnia 1935.

2. Zezwolono na polowanie na sarny-kozły oraz samice jelenia i daniela w czasie od 16 stycznia do 15 lutego, a na bażanty kury w czasie od 1 do 30 listopada, z mocą obowiązującą od dnia ogłoszenia do 1 lipca 1934.

3. Wprowadzono czas ochronny dla dzików od 1 marca do 30-go

kwietnia, dla żbików od 16 lutego do 30 listopada, dla kun leśnych (tumaków) i norek od 1 marca do 30 listopada, z mocą obowiązującą od dnia ogłoszenia do 1 lipca 1934.

4. Rozszerzono czas ochronny dla wiewiórki na czas od 1 marca do 30 listopada z mocą obowiązującą od 1 stycznia 1933 do 1-go lipca 1934.



Komunikat
o prawie noszenia i nabywania broni

Z dniem 1 stycznia 1933 wchodzi w życie rozporzdzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 27 października 1933 (Dzien. Ust. Nr. 94 poz. 807) pod nazwą „prawo o broni, amunicji i materjałach wybuchowych".

Rozporządzenie to nader doniosłe dla Władz administracyjnych i sądowych, jakoteż dla handlu, przewozu i przechowywania broni i amunicji, normuje i ujednostajnia odnośne stosunki prawne oraz zmienia podstawę prawną niektórych istniejących już w tej dziedzinie przepisów i zarządzeń, wreszcie, wprowadza liczne nowe przepisy. Nowe prawo nie sprowadza jednak takich zmian warunków nabywania, posiadania i noszenia broni myśliwskiej, które miałyby, bezpośrednio, praktyczną doniosłość dla myśliwych Małopolski.

Zanim tedy wyjdzie rozporządzenie wykonawcze, które wyjaśni niewątpliwie niektóre kwestje budzące się jeszcze w tym względzie, zwracamy tylko uwagę na następujące przepisy nowego prawa:

Wedle art. 22, będą mogły być wydawane pozwolenia bądźto na samo posiadanie, bądź też na posiadanie i noszenie broni.

Wedle art. 23, ciążyć będzie na posiadaczu pozwolenia na broń, który zmienia miejsce zamieszkania, obowiązek postarania się, przed upływem 30 dni, u właściwej dla nowego miejsca zamieszkania Władzy administracyjnej, o odpowiednią adnotację na pozwolenie.

Wedle art. 27, wolno broń odstępować czyto na stałe (sprzedać, darować), czy też czasowo, tylko osobom posiadającym uprawnienie do nabycia broni.

Wedle art. 35, wolno będzie broń przesyłać pocztą tylko na podstawie specjalnej deklaracji i tylko do osób uprawnionych do jej nabycia względnie posiadania.

Wedle art. 55, pozwolenia na broń wydane przed wejściem w życie nowego prawa, zachowują ważność na czas na jaki zostały wydane, w każdym razie zaś do 31 marca 1933.

Nadmieniamy wreszcie, że nowe prawo wprowadza nader surowe przepisy karne za jego przekroczenie.

TREŚĆ NUMERU 1:

Życzenia Noworoczne. — *Bogumił Magdziński:* Jak objawia się u zajęcy spirochetoza. — *A. Groetschel:* Podpatrzone w mrokach leśnych. — *Jerzy Podoski:* Sagalas London Bałabanówka (feljeton). — *Adam Starzeński:* Litości! Litości! — *Rudyard Kipling:* Kangur na wyścigach (wiersz). — *Antoni Pisuliński:* Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych (c. d.). — *Jarosław Hubalek:* „Szarek" (c. d.). — II-gi pokaz Trofeów Łowieckich w Warszawie. — Korespondencje. — Sprawy Towarzystwa: Z Oddziału M. T. Ł. w Krakowie. — Komunikaty M. T. Ł. we Lwowie. — Komunikaty.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 60 zł 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5 drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie.) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32